

Od autora: Rzecz dzieje się w niedalekiej przyszłości. Gdzieś...

"Shakespeare"

Rygiel żelaznej zasuwki trzasnął głośno, aż zadzwoniło w uszach. Właśnie zamknięto za mną drzwi do wolności. Stałem jak kołek patrząc na współtowarzyszy niedoli. Żaden nie wyglądał na zadowolonego. Dwaj mieli zasępione miny, a trzeci wyglądał na typowego, łysego oprycha.

– Za co? – zapytał jeden, siedzący najdalej. Gębę miał najmniej odrażającą, ale i tak sprawiał wrażenie nieprzyjemnego.

– Zabójstwo – odparłem cieniutkim jak nić głosem.

Siedzący najbliżej drzwi, a tym samym i mnie, wpadł w atak radości. Z szeroko rozdziawioną jamą zanosił się dzikim śmiechem, ukazując mi chyba wszystkie zęby, jęzor i część przełyku.

Pozostali dwaj wykrzywili jedynie usta w delikatnym uśmiešku.

Rozumiałem ich. Miałem dopiero piętnaście lat i nie wyglądałem na mordercę. Ani trochę. Nie uwierzyłbym sam sobie, gdybym nie znał prawdy.

– Siadaj, mały, na tamto kojo – rzekł ostatni, który jeszcze się nie odezwał. – Piżdzi przez okno, ale da się wytrzymać. W końcu to nie "Mariott".

Zrobiłem, co kazał. Rzeczy odłożyłem na materac i przycupnąłem na brzegu łóżka, które przypominało stare, szpitalne legowisko.

Potem odezwał się bezwłosy kretyn, który przestał wreszcie rechotać.

– Te, młody. Chodź pod derkę na bajerkę. Nie bój, nie bój. Wybadam tylko twoją pływ. Wszyscy wybadamy. He, he. Ale ja najpierwszy.

– Ty? – zdziwił się tamten od "Mariotta". – Niby dlaczego?

– A bo najwięcej dostałem.

– Wyrok może i najdłuższy, ale fiut za to krótki i cienki jak zapalka.

– Chuj wielki, cztery bąbelki. Wie to najlepiej twoja stara, panie Wolski. Idziem zaraz wietrzyć jajca, a ty, młody, nie spierdol tylko kanałem, he, he.

Nie poszedłem na spacerniak. Zostałem w celi razem z Wolskim.

Siedziałem na trochę prześmiardłym materacu, myśląc, w jaki sposób przeżyć nadchodzącą noc. Nie byłem głupi i nie raz słyszałem, co dzieje się w więzieniach. Podobno opowieści na temat bujnego życia seksualnego za kratkami są grubo przesadzone, ale wiedziałem, że trudno przewidzieć, jak zachowa się zbior, który widywał kobiety na rozkładówce czasopism.

Kiedy prowadzili nas z więziennego parkingu do budynku, dokoła zebrali się mnóstwo zboczeńców. Ponad połowa wykonywała nieprzyzwoite gesty zwiastujące groźbę stosunku. Idący krok za mną skazaniec prosił Boga o łaskę. W tamtej chwili nie myślałem o niczym konkretnym. Maszerowałem w zwartym szeregu żalonych gnojników, patrząc przed siebie. Co chwilę ktoś krzyczał w naszym kierunku bzdury w stylu: "co słysząc, niuniu...?", "swędzi mnie na sam widok" albo "czekałem na ciebie dziesięć lat". Wszystko to odtwarzałem raz jeszcze w pamięci. Nie wiem, dlaczego. Widocznie inaczej nie potrafiłem.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Wolskiego.

– Trzymaj. – Wyciągnął ku mnie dłoń, na której spoczywała stara, bardzo sfatygowana żyletka.

– Po co? – zapytałem.

– Wsadź między pośladki. No dalej, śmiało.

Nie wiedziałem czy robi sobie żarty, czy mówi poważnie, ale podarek przyjąłem.

Bądźcież ostrożni! Bezpieczeństwem trwoga,

Młodość buntuje się, choć i brak wroga.

Niecałe pół metra nad tablicą wisiał portret Mickiewicza. Zwykle wybieraliśmy trudniejszy cel, ale tym razem nie chodziło o rywalizację. Liczyła się tylko dobra zabawa.

Obracałem w ustach małą papierową kulkę tak, by dobrze nasiąkła śliną, ale nie rozleciała się na drobniejsze kawałeczki przy zderzeniu z celem. To samo robili chłopaki, czyli Pino i Bolo.

– Na trzy, cztery – rzekł Bolo.

– Chuja tam – odparłem. – A co, jeśli trafi więcej niż jeden...? Skąd będziemy wiedzieli, który pocisk jest czyj...?

– Dobra, to po kolei – ustąpił Bolo. – Pino, zaczynaj.

Pinczer nabrał w płuca haust powietrza, przystawił do ust plastikową rurkę i dmuchnął z całej siły. Na szczęście chybił, czym dostarczył nam powodu do drwin.

Byłem następny, więc szybko musiałem wyciągnąć wnioski. Chwila namysłu, skupienia i świst. Trafiłem w ramkę, co też nie było rewelacją, ale jednak o kilka centymetrów byłem bliższy powodzenia. Na tym musieliśmy przerwać zawody, bo do sali wszedł Stendard.

Od progu dało się wyczuć, że ma parszywy nastrój. Semestr zbliżał się ku końcowi, a ta gnida ani na moment nie pozwalała nam odetchnąć. Wiecznie tylko pieprzone lektury i prace domowe. Słowo daję, że miałem dość typa. Jedyne, czego pragnąłem, to dostać świadectwo i prysnąć stąd daleko. Przypominało to trochę historię z portretem Mickiewicza. W jednym i w drugim przypadku byłem bliski osiągnięcia celu.

Wszyscy wiedzieli, że Stendard potrafi uwalić cwaniaka i to w ostatniej klasie. Skurwiel robił to specjalnie, w końcu nie ma nic bardziej rozczerwającego niż porażka przed samym finiszem. To tak, jakby spłynąć rwącą rzeką pomiędzy skałami, przeżyć wodospad, atak krokodyla i łodzi podwodnej, a utopić się w szambie. Podłość ludzka nie zna granic.

Profesor zasiadł jak zwykle za biurkiem i rozpoczął cały rytuał. Z teczki wyciągał w pierwszej kolejności zestaw długopisów powtykanych w skórzane etui. Po nich na biurku lądował dziennik, podręczny organizator, kołonoatnik i wreszcie sama teczka położona na płasko przy lewej krawędzi blatu. Za moment odczyta listę obecności.

– Abramowicz – powiedział nauczyciel, na co chudy jak szkapa blondyn odparł:

– Jestem.

Bolo i Pinczer zdusili w sobie śmiech, ale nie na tyle, żebym nie usłyszał.

Klasyka żartu; kiedy wyczytany z nazwiska uczeń odpowiada "jestem", aż ciśnie się na usta, by dodać po krótkiej pauzie: pedałem, zębem, cwelem, dziwką albo pizdą. Bawiło to nas nieodmiennie od jakichś pięciu lat. Bezpieczniej mówić "obecny".

Gdyby nie fakt, że zajęcia prowadził Stendard, zaraz ochrzciłibyśmy Abramowicza po swojemu, co niewątpliwie wprawiłoby resztę koleżeństwa w dobry nastrój. Niestety nasz polonista nie cierpiał głupich żartów. Właściwie nie znosił żadnych żartów, a już na pewno nie tych naszego autorstwa. Śmiech pasował do niego jak pięść do oka.

Po zweryfikowaniu listy obecności pedagog zamknął dziennik, co dla nas było sygnałem, że pora otworzyć zeszyty i zanotować temat dzisiejszej lekcji. Zamiast tematu usłyszeliśmy jednak takie słowa:

– Wkrótce czeka was egzamin końcowy, ale zanim, mam nadzieję, otrzymacie świadectwa, dyplomy i gratulacje, napiszecie jedną pracę. Ostatnią w tym semestrze.

Gdybyśmy nie posiadali umiejętności trzymania języka za zębami, nasze usta rzekłyby: "kurwa twoja mać", które rozniosłoby się po sali jak smród padliny. Jedno, co nas teraz łączyło, to zbiorowa nienawiść, znaczy łączyła większość, bo wśród nas były przychlasty, które widziały szansę na podciągnięcie ocen. Z reguły oni akurat nie musieli w ogóle się starać, ale dziwnym trafem bardzo chcieli. Młodzi, ambitni i żałośni. Tacy nie przepuszczają okazji nawet w drodze na szubienicę.

W jednej z pierwszych ławek dziewczyna imieniem Mina podniosła rękę. Kiedy otrzymała pozwolenie,

by zabrać głos, zapytała:

– Czy to będzie praca pisemna czy ustna?

Bolo wykonał ukradkiem gest imitujący fellatio, ale nie było mi do śmiechu.

– Myślałem nad tym – odrzekł Stendard. – Zwykle stawiam na formę pisemną, ale tym razem zrobię wyjątek. Sprawdzimy przy okazji wasze umiejętności oratorskie. Niedługo rozpoczniecie kolejny etap edukacji. Czekają was rozmowy wstępne, a w nich trzeba pokazać się z jak najlepszej strony. Pewnie chcecie libyście poznać temat pracy.

Wprost nie mogłem się doczekać.

– Nie ma żadnego konkretnego zagadnienia – kontynuował profesor. – Stawiam na swego rodzaju otwartość w interpretacji. Daję wam swobodę.

Zgłosił się lamus Abramowicz.

– Czyli sami możemy wybrać temat?

– Tego nie powiedziałem – odparł Stendard. – Miałem na myśli luźną pogadankę na temat... "Hamleta". Termin do końca przyszłego tygodnia.

Właściwie tytuł nie miał żadnego znaczenia. Wiedziałem, że utknęliśmy jak gówno w rurach i żadną siłą nie wylecimy na wierzch w jednym kawałku. Stendard odpalił maszynkę do mielenia mięsa, a przy tym nie pobrudził sobie zanadto rąk. Ciekawe, ile zajęło mu wykombinowanie tego skurwysyńsko chytrego planu.

Teraz i ja miałem parszywy nastrój. Na apelu nie bawił mnie nawet znakomity koncert na wardze, który odegrał Bolo. Zabawa polegała na wydaniu ustami dźwięku najbardziej przypominającego pierdnięcie. I nie chodzi o to, aby prykać bez ustanku, ale wstrzelić się we właściwy moment, gdy podczas przemowy nastąpi pauza. Najlepiej, jeśli gadka jest cholernie poważna, a cała sala buchnie śmiechem. Trzeba tylko uważać, bo czasem w tłumie uczniów błakał się woźny albo nauczyciel łowiący żartownisiów. Bolo był prawdziwym koncertmistrzem, serio. Gdyby utworzono orkiestrę, pierwszymi ustami zostałby Bolo. Sam czasem próbowałem zagrać co nieco i szło całkiem nieźle, ale nie dzisiaj.

Zaraz po apelu poszliśmy na przerwę.

Chodziłem przed budą jak struty, co nie uszło uwagi moim przyjaciółom.

– Ty, Kuczer – rzekł do mnie Pino. – Chomik ci zdechl?

– Daj spokój – odparłem i splunąłem na chodnik. – Jeśli nie skończę szkoły, ojciec napierdoli mi młotkiem.

– No, to masz przesrane. Miło było cię poznać.

– Fajnie, że macie dobry humor, ale uważajcie, bo wam też się oberwie.

– Twój stary roztrzaska nam łby? – spytał Bolo.

– Serio nie rozumiecie, co się dzieje? Stendard chce usadzić nas wszystkich. Pinczer, co masz z polskiego?

– Jak dobrze pójdzie, na koniec będzie trójka.

– Ten ślepy dziad z dworca widzi, jak dostajesz tróję. Bolo ma jeszcze gorzej, a o sobie nawet nie wspominam.

Wszyscy spojrzeli na mnie z wrogością. Zapadła długa cisza.

– Co proponujesz? – zapytał w końcu Pinczer.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem jeszcze, ale coś wymyślę.

***Będziecie mogli zbadać rzecz dokładnie,
A gdzie jest wina, tam niech topór spadnie.***

Przez pierwsze kilka nocy prawie w ogóle nie spałem. Zaraz gdy tylko przymknąłem powieki, nawiedzały mnie okropne wizje. Więźniowie zwą koszmary senne strzygami i nawet chyba wiem, dlaczego. Łysy trochę mi odpuszczał. Widocznie od początku zależało mu, by zrobić odpowiednie wrażenie, niejako ułożyć mnie jak wytresowane zwierzątko. Czasem zachowywał się nawet jak miły gość, choć nie miałem ochoty się z nim bratać.

– Musisz, młody, wstąpić do jakiegoś gangu – poradził, gdy spacerowaliśmy na świeżym powietrzu.

– A co jeśli się nie nadaję? – spytałem jak najgorszy amator.

– No co ty, kurwa? Lamus jesteś? Tutaj musisz trzymać z jakąś ekipą, bo inaczej dostaniesz w pizdeczkę. Znaczy zawsze można oberwać, ale w kupie siła, nie? He, he.

– Nie będę tu długo – mówiłem, choć nie miałem pewności. – Przeniosą mnie do jakiegoś ośrodka dla trudnej młodzieży.

– Tak czy inaczej, jak chcesz wyjść w jednym kawałku i bez powiększonej dziury w dupie, pucuj się gangusom.

Rozejrzałem się po wielkim jak pół boiska spacerniaku. Rzeczywiście ludzie trzymali się tutaj razem. Niektórzy nawet identycznie wyglądali.

– Może macie u siebie miejsce, co? – zapytałem.

– Że co? – zdziwił się Łysy. – Że niby ty miałbyś dołączyć do nas? Chłopcze, my są Karki, rozumiesz...?

– Zacznę chodzić na siłownię.

– Chyba się zaraz zesram. Nawet, gdybyś huknął całe wiadro testosteronu i tak ci zabraknie ikry.

– To co mam robić?

– Bo ja, kurwa, wiem. Może opierdol se glacę i idź do skinów.

Znałem trochę subkultury, ale pojęcia nie miałem, czym skini mogą zajmować się w więzieniu. Zapytałem więc o to swojego nowego kumpla.

– W sumie ciężko powiedzieć – odparł. – Przeważnie napierdalają różnych takich. Już paru arabusom zrobili ze łba wycieraczkę. Trochę dilują i strugają palantów. Masz bogatych starych?

– Nie bardzo, a co?

– Chujowo. Mógłbyś zapłacić za ochronę. I tak będziesz musiał.

– A co, jak nie mam ani grosza...?

– Wtedy wsadź se korek w dupę.

Na tym zakończyliśmy naszą dyskusję.

Łysego zamknęli za zmasakrowanie jednego człowieka, który wszedł mu w drogę. Podobno poszło o o kawałek terenu, na którym mój towarzysz, jak twierdził, robił porządki i takie tam.

Życzliwy, od którego otrzymałem żyletkę, nazywał się Wolski. Był równie wesoły co Łysy, ale czasem poważniał. On z kolei przynależał do gangu Zębatego. Nie umiem powiedzieć czym się zajmował, ale czas spaceru spędzał aktywnie. Chodził od jednej grupy do drugiej, naradzał się, tłumaczył, słuchał. Z pewnością był ważnym elementem swojej formacji, ale nie najważniejszym.

W żadnym gangu miejsca nie zagrzał natomiast Prezes – najstarszy z nas. Chłop mógłby być moim dziadkiem i tak też czasem go traktowałem. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że Prezes żyje spokojnie praktycznie na uboczu. Nigdy nie widziałem, by ktoś go zaczepiał. Nawet Zębaty, szef gangu, odnosił się doń z szacunkiem. Wszyscy ci ludzie byli cholernie groźni w przeciwieństwie do mnie. Z niecierpliwością odliczałem kolejne dni, wkrótce miałem przecież odejść.

– Nie mamy jeszcze zgody na przeniesienie – oznajmił prawnik, którego wynajęli moi starzy. – Ale spokojnie, chłopaku, działamy w ekspresowym tempie.

– Też mi ekspres – wściekłem się. – Jak tak będziecie pędzić, to pod celą zrobią mi nową dziurę w dupie.

– Spokojnie, Izaaku. Pośpiech nic nie zmieni.

– Może moi starzy powinni ciebie zmienić, co?

Po raz pierwszy prawnik – zwany przez niektórych papugą – uśmiechnął się. Naprawdę wyglądał na za-

dowolonego z siebie, jakby wykonał kawał dobrej roboty. Po chwili samozadowolenia, zapytał:

– Powiedz, proszę, chłopcze, dlaczego się tutaj znalazłeś?

– Nie umiesz czytać? Zajrzyj do swoich pojebanych notatek, a wszystko się wyjaśni.

Wtedy coś w nim pękło:

– Ty mała gnido – rzekł bardzo spokojnie. – Paniczyku pierdolony. Jeżeli myślisz, że tatuś i mamusia załatwią ci przepustkę do lepszego świata, to się mylisz. Wpadłeś po uszy do szamba i trochę minie, zanim wypłyniesz na powierzchnię. Takie jest życie, że niegrzecznych chłopców i dziewczynki czeka wpierdol. Kara musi być. Jak dla mnie powinni wam poukręcać łebki i zetrzeć na pokarm dla rybek zamiast resocjalizować. Strata czasu i pieniędzy podatników. I jeszcze jedno, lepiej, żebyś współpracował, tępy kłocu, bo ktoś przypadkiem mógłby nakablować, że lubisz bawić się z synkiem sąsiadów w doktora. Zajrzyj w swój jebany umysł i pomyśl czy warto.

Kiedy skończył swój monolog, sięgnął do teczek po papiery. Potem rzekł:

– Stworzę teraz raport. Napiszę, jaki to jesteś spokojny i miły. Udowodnię w nim, że nawracasz się z każdym kolejnym dniem, jak przystało na człowieka, który zrozumiał swój błąd. Podpiszesz się pod każdym słowem, wiesz dlaczego? Bo inaczej prędzej znajdę schronisko dla psa przybłądy niż właściwy ośrodek dla ciebie. Kapujesz, mały?

Zwichnięty czas, w przeklętym ja momencie

Rodziłem się, by leczyć to zwichnięcie.

A więc wojna, pomyślałem.

Moi koledzy, choć bardzo ich lubiłem, nie należeli do mózgowców. Zwykle to ja myślałem, a oni robili, co trzeba. Nie, nie byłem dowódcą, dyktatorem czy szefem. Jeżeli już, zajmowałem się strategią i unikaniem kłopotów.

Wiedziałem, że Stendard jest naszym najgroźniejszym przeciwnikiem. Reszta nauczycieli mogła sypać uwagami, posyłać wszystkich na dyrektorski dywan albo donosić starym. Nie zależało im, bo chcieli się pozbyć tumanów jak najszybciej, w końcu, po co przysparzać sobie dodatkowych zajęć. Ktoś z nami przecież musiał zostawać po lekcjach albo sprawdzać karne prace domowe.

Polonista, zdaje się, przyjął zupełnie inną strategię. Za punkt honoru postawił sobie udupić ludzi, którzy nie zasługiwali na ukończenie szkoły. Niektórzy twierdzili, że to nic innego jak sprawiedliwość, ale według mnie sprawa była bardziej złożona. Sądzę, że profesor należał do grona idealistów ślepo wierzących własnym przekonaniom. Nieuków, osłów, głabów, cymbałów, palantów i ćwoków zostawiał na kolejne lata, bo wierzył, że któryś z nas w końcu zrozumie, że wiedza to potęga. Pieprzony edukator zamiast w zeszytach próbował grzebać nam w głowach.

Muszę przyznać, że traktowałem go jak wyzwanie rzucone mnie i moim kolegom. Kto wie, może nawet całemu pokoleniu. A więc wojna, pomyślałem. Znowu starzy kontra młodzi.

W walce posłużyć miała nam cała gama zgryw, które wyszlifowaliśmy przez wszystkie lata niemal do perfekcji.

Dobra zgrywa musiała być konsekwentnie realizowana, jednak nie chodziło o to, aby w ramach kary czy buntu odebrać belfrowi życie, ale stopniowo je utrudniać. Powinniśmy atakować regularnie, ale z umiarem. Wiedziałem, że każdego człowieka można sprowokować, wystarczy tylko poznać jego słabości.

Stendarda najbardziej drażniło lekceważenie obowiązków, niechlujstwo i rynsztokowe słownictwo, dlatego nie sprawiło nam większych trudności doprowadzenie go po raz pierwszy do szału.

Miało to miejsce tuż przed weekendem, gdy katowaliśmy jakiś wiersz. Profesor słuchał jak zwykle od niechcenia czyjejs interpretacji, kiedy spostrzegł na swoim czyściutkim, sterylnym biurku coś strasznego. Tuż przy krawędzi blatu leżał paskudny, ogryziony pazur. I to taki z żalobą. Przez dłuższy czas nie mógł oderwać od niego wzroku i nie zorientował się nawet, kiedy dupek z pierwszej ławki skończył swój wy-

wód na temat wiersza.

Stendard rozejrzał się w milczeniu. Prześledził wszystkie twarze świdrującym spojrzeniem, po czym zapytał:

– Kto jest dyżurnym?

– Kto jest kim...? – zadał swoje pytanie Bolo, udając głuchego. To także była jedna ze zgryw.

– Dyżurnym – powtórzył pedagog. – Masz problemy ze słuchem, Bolowski?

– Nie, panie profesorze – odparł mój kumpel. – Ale my nie mamy dyżurnego.

– W takim razie nic dziwnego, że wokoło taki nieporządek. Mianuję cię, Bolowski, dyżurnym.

– Panie profesorze, ale muszę?

– A masz inne zajęcie? Chodź tu, mam robotę w sam raz dla ciebie. Wyczyść moje biurko.

– Przepraszam, profesorze, ale o ile wiem, to należy do obowiązków sprzątaczek.

– Coś ty powiedział?

– O ile wiem...

– Słyszałem, tumanie! – wrzasnął Stendard. Potem otworzył dziennik i przewertował go prawie na sam koniec, co oznaczało, że szykuje się wpis w rubryce z uwagami. – Jesteś równie bezczelny i zarozumiały, co głupi. Odnotujemy to na wypadek, gdybyś miał problemy z pamięcią. I wy wszyscy także.

Obserwowaliśmy, jak zapalczywie notuje uwagę w dzienniku. Wcześniej zdarzało się, że karał nas kwitem, bo zapomnieliśmy odrobić pracę domową albo przystąpiliśmy do lekcji nieprzygotowani. Nigdy jednak nie był przy tym wściekły.

Kiedy skończył, przywołał do siebie Bolo i wręczył mu ów kwit, z którym mieli zapoznać się rodzice.

– Do jutra matka i ojciec mają to podpisać – nakazał polonista.

– Tyle, że moja matka wyjechała – rzekł Bolo. – Będzie dopiero pod koniec przyszłego tygodnia. Może ojciec podpisać dwa razy?

Po sali rozniósł się cichy śmiech kilku osób.

Stendard miał dość, ale starał się nie wybuchać ponownie.

– Wystarczy, że podpisze się raz – odrzekł nauczyciel. – A szanowną mamę zapraszam do szkoły zaraz po powrocie. Wracaj na miejsce.

Reszta lekcji upłynęła spokojnie, choć cała sytuacja trochę zgnębiła naszego belfra, który nie mógł znieść obecności pazura na swoim biurku. Byliśmy z siebie dumni, ale wiedzieliśmy, że to dopiero początek.

***Kto buduje mocniej i od murarza i od cieśli okrętowego
i od zwykłego cieśli?***

Ten, co robi szubienicę, bo jego dzieło przeżyje tysiąc lokatorów.

W więzieniu coś zaczynało się dziać. Ludzie szeptali coraz ciszej i rozglądali się bardziej na wszystkie strony. Odnosiłem również wrażenie, że przywódcy gangów stali się sobie mniej życzliwi, choć w tym miejscu trudno mówić, o jakiegokolwiek życzliwości. Najwyraźniej dochodziło do rozłamu.

Nawet ja widziałem, że Zębaty spogląda z niechęcią na Kulę, wielkiego jak stodoła łysola, który był centralnym punktem Karków. Z pewnością, jeśli Karki miały swojego przywódcę, był nim właśnie on.

Zębatemu to się nie podobało. Przez długi czas traktował Karków jako najemników, tanią siłę od czarnej roboty i podludzi, ale czasem ich potrzebował, dlatego pozwalał "bawić się" we własnym gronie. Ale coś uległo zmianie i nawet mnie nie umknął ten szczegół.

Raz w tygodniu pod celami przejeżdżał wózek z książkami pchany przez nieco starszego ode mnie chłopaka. Nazywali go Twix, a to ze względu na brak dwóch palców u prawej dłoni. Podobno pożarł je pies właściciela posesji, którą Twix chciał obrobić. Przez wyraźny uszczerbek na zdrowiu nie nadawał się do żadnej innej roboty, stąd pchał bibliotekę na kółkach.

Usłyszeliśmy pisk wózka pod naszą celą. Potem trzask odciągniętej zasuw i przyjazny głos młodzieńca.

– Cześć, panowie. Macie coś do oddania?

Prezes podniósł się z łóżka, ale powstrzymałem go.

– Zrobię to – powiedziałem i zebrałem ze stołu stos książek, które podałem Twixowi.

Ten z kolei przekazał mi kilka nowych egzemplarzy, na które nawet nie spojrzałem. Od razu położyłem je na stole.

– E, Łysy – rzekł jeszcze na koniec Twix. – Chcesz książkę, mam tu fajną kolorowankę. W sam raz dla ciebie.

– Pierdol się – odrzekł mięśniak. – Ciekawe czy z chujem w dupie też będziesz taki zabawny.

Kiedy chłopak przeszedł do następnej celi, Łysy jeszcze nie potrafił przełknąć zniewagi.

– Zapiardolę gnojka – powtarzał raz po raz. – Gówniarz już jest trupem. Zajebię go książką. Ura bura, szef podwóra, pedał jeden dostanie w pizdeczkę.

– Panuj nad sobą, Łysy – upominał go Wolski. – Poza tym, jak go wydymasz, sam będziesz pedał.

Mięśniak zamilkł, widać rozmyślał nad dylematem, jaki powoduje męski gwałt. Prezes tymczasem oddawał się namiętnie literaturze. Czytał właśnie "Władcę much". Dałbym uciąć sobie dwa palce, że kilka chwil wcześniej wydobył z książki gryps, który szybko schował do kieszeni.

Ośrodki dla trudnej młodzieży były dalej przepełnione. Moi starzy chcieli znaleźć coś stosunkowo blisko, żeby nie tracić całych dni na dojazdy, ale mnie było wszystko jedno. Papuga twierdził nawet, że zakład karny, w którym tymczasowo kiblowałem, nie był wcale zły, a już na pewno nie gorszy od poprawczaków, do których miałem dopiero trafić.

– Wiesz, chłopie, co się tam dzieje? – mówił. – Ostatnio koledzy podpalili jakiegoś gówniarza podczas snu, innemu wetknęli petardę w odbyt, a jeszcze kogoś zamknęli w piwnicy ze szczurami wielkości psów. Takie nastały czasy, że potwory mają jeszcze mleko pod nosem. Zresztą ty też jesteś niezłe ziółko.

Prawnik spojrzał najpierw na mnie, jakby sprawdzał czy ta uwaga zrobiła jakieś wrażenie. Potem powrócił do wertowania papierzysk.

– No dobra, Izaaku, a teraz ustalmy jedną wersję. Twój kolega musi odpowiedzieć za współudział, więc lepiej, żebyś miał coś. Przyznaj, że cię nakłonił. Potrzeba nam niezbitych dowodów.

– Co za różnica? – odparłem. – Odbębnię swoje w ośrodku i za niecałe trzy lata wyjdę.

– A on?

– Co on?

– Zostawił cię, a jestem pewien, że przynajmniej pośrednio odpowiada za to, co się wydarzyło. Chcesz płacić za wspólną "zabawę"...?

– Bolo zapłacił.

– A ten jak mu tam, Pinczer?

– To tchórz. Dajmy temu spokój.

Dalsza dyskusja była bezcelowa. Wiedziałem to ja i papuga.

Jak się macie obaj?

Jak przeciętni śmiertelnicy.

Akcja sabotażowa przebiegała sprawnie. Profesor coraz bardziej miał nas dość, a myśmy wcielali regularnie plan w życie. Krótko mówiąc zgrywa goniła zgrywę.

Jak już wspomniałem obiekt naszych żartów piętnował każdy przejaw niechlujstwa, dlatego przy dogodnej okazji nie szczędziliśmy mu zmartwień. Kiedy na przykład wezwał mnie do odpowiedzi, a wiedziałem, że to robi, teatralnym gestem podałem mu zeszyt i stanąłem jak najbliżej biurka. Przez ostatnie trzy dni nie umyłem się ani razu, dlatego cuchnąłem jak stary, zapocony marynarz. Stendard próbował nie zwracać na to uwagi, ale w końcu kazał stanąć mi dalej. Bez przerwy też drapałem się po jądrach, co nie-

ziemsko bawiło niektóre dziewczęta.

Jako, że zeszyt był wizytówką ucznia, postarałem się, by i ten szczegół nie umknął uwadze profesora. Okładkę wygniotłem tak, że rozsypywała się w dłoniach. Niemal każdą z kartek pokrywały rysunki penisów. Większe, mniejsze, uwzględniające detale anatomiczne lub nie, z włosami lub bez. Na ten widok Stendard spojrział na mnie z odrazą.

– To głupie żarty kolegów – wyjaśniłem z tępym uśmieszkiem.

Nic nie odpowiedział. Powrócił do wertowania zeszytu, a im dalej, tym gorzej.

Niektóre z kartek pokryłem jeszcze smarkami, woskowiną wygrzebaną z uszu, a nawet spermą dla lepszego efektu.

– Niech to szlag, Kuczer – skomentował Stendard. – Co to ma być? Żarty sobie stroisz?

– Przyznaję, że kiepsko dbałem o zeszyt – odparłem.

– Kiepsko? Przecież to wygląda jak pamiętnik kloszarda. Zabieraj te śmieci z mojego biurka i wynoś się. Wróciłem do ławki bogatszy o pałę w dzienniku. Teraz już na pewno muszę zrobić wszystko, by zniszczyć mądrą.

Koleczy pogratulowali mi akcji.

Kolejny dzień to popis Bolowskiego. Już na początku doprowadził profesora do szału, kiedy nie odpowiadał na jego nawoływania.

– Bolowski – wezwał do odpowiedzi Stendard. Odczekał chwilę, po czym przemówił raz jeszcze. – Bolowski.

Bolo w tym czasie udawał, że śpi. Podparty na ręce z głupią miną i zamkniętymi oczami wywołał ubaw nas wszystkich. Klasę wypełniał coraz głośniejszy śmiech, do czasu, aż belfer ryknął na całe gardło:

– Bolowski!

Wywołany do odpowiedzi wstał:

– Co się stało? – zapytał zdeorientowany.

– Chodź tu – nakazał nauczyciel. – Gdzie masz zeszyt?

– Jaki zeszyt?

– A jak myślisz, idioto?

– A, ten. Niestety wczoraj w naszej kamienicy był pożar i zeszyt spłonął. Sam ledwo się uratowałem, ale zeszyt, biedaczyna, nie miał tyle szczęścia.

– Pożar...

– Tak, tak, proszę pana. W rzeczy samej. Któryś z sąsiadów zasnął z papierosem i mamy oto taki wypadek.

– Powtórz w takim razie temat wczorajszej lekcji.

– No to było, że tak o. Ja siedziałem tam i nagle usłyszałem jakiś hałas na korytarzu. Myślałem, że coś się stało, a to pan woźny postawił wiadro żeliwne na kafle. A to robi straszny hałas.

Stendard wyglądał na autentycznie zaszokowanego. Nadał się cały i wzruszył ramionami, jakby zaraz miał odlecieć.

– Co to ma do rzeczy...? – odparł. – Czyżbyś był aż takim idiotą, żeby nie rozumieć najbardziej podstawowych rzeczy? Po co o tym w ogóle wspominasz?

– Uznałem, że to może być ważne.

– Ważne? Jak coś tak bezmyślnego mogło ci przyjść do głowy? Bolowski, jesteś zakałą. Wysłałbym cię do dyrektora, ale wiem, że nic to nie da. Tobie potrzeba pomocy psychiatrycznej. Zejdź mi z oczu.

– Nie stoję na pana oczach.

– Siadaj, kretynie!

Tak przechodzi się do historii. "Nie stoję na pana oczach" było najczęściej opowiadaną anegdotą na przerwach przez kolejne kilka dni.

*Niech Herkules podważa ziemi zręby,
Kot musi miauczeć, a pies szczyrzyć zęby.*

W więzieniu nie ma wiele do roboty, tym bardziej, jeśli nie należysz do żadnego gangu. Z tego powodu łapałem się wszystkich możliwych zajęć, dzięki którym mogłem opuszczać celę chociaż na moment.

W chwili, gdy myłem podłogę w kuchni, rozległ się alarm. Dźwięk syreny oznajmiał przeważnie ucieczkę. Była to chwila jedyna w swoim rodzaju, kiedy wszyscy osadzeni dopadali do okien albo drzwi i nasłuchiwali. Tak przynajmniej opowiadał Łysy.

Natychmiast w kuchni zjawił się strażnik, który kazał mi w podskokach wypieprzać do celi. Dokładnie tych słów użył, grożąc paralizatorem.

Niecałą godzinę później całe więzienie wiedziało, że alarm nie był spowodowany ucieczką, a morderstwem. Załatwili Twixa.

Wolski od razu spojrzał na Łysego, który kończył serię pompek. Potem zerknął na Prezesa, ale żaden nic nie powiedział. W końcu przemówił Wolski.

– Łysy, co ci strzeliło do tego pustego łba?

– Że co? – zapytał kafar.

– Dlaczego załatwiłeś tego nieszczęsnego gówniarza?

Kark skończył robić pompki. Siadł na brzegu łóżka i począł ocierać pot z ciała.

– Nie wiem, o co chodzi – odrzekł. – To nie ja.

– Zrozum, co mam na myśli – naciskał Wolski. – Dlaczego bez wiedzy i przede wszystkim zgody Zębatego odjechałeś dzieciaka? I nie pierdol mi tu za uszami, że nic nie zrobiłeś. Lepiej gadaj, jak było.

– Miałem zgodę Kuli. No co?

Wolski długo zbierał myśli, zanim zapytał:

– A kim jest Kula?

– No Kula nam szefuje.

– Bystrzak z ciebie, to powiem ci coś wprost. Kula i reszta koniobijów nawet po dupie się nie może pochrapać bez zgody wyższego, rozumiesz?

– Pedał musiał dostać za swoje i już. Jebnąłem go najpierw w czajnik i kazałem przeprosić, ale nie chciał. No to go dojechałem.

– Byłeś sam?

– Tak. Złożył się, jebany, jak scyzoryk. He, he. Nie ma kogo żałować.

Wolski o nic więcej nie pytał, a Prezes powrócił do czytania kolejnej książki.

Nie byłem specjalistą, ale nie miałem też wątpliwości, że Twix odgrywał ważną rolę roznosząc książki. Między kartkami przemyślał grypsy. Prezes powiedział kiedyś, że informacja to potęga i teraz już wiem, co miał na myśli.

Funkcję "roznosiciela" musiał przejąć człowiek zaufany i odważny. W razie niepowodzenia oberwać można było nie tylko od strażników, ale także od współwięźniów. Przez chwilę wyobraziłem sobie nawet, że podjąłem to ryzyko, ale, na moje szczęście, szybko znaleziono zastępcę. Został nim Buch – trochę dziwny koleś przypominający wyglądem chodzącego pionowo węża, ale Zębaty musiał mu ufać.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się kilka dni po śmierci Twixa.

Facet nie należał do wesołków, jak jego poprzednik. Po przesunięciu zasuw w drzwiach stać go było jedynie na lakoniczne:

– Książki.

Podąłem mu "stary" zestaw Prezesa, a przyjąłem "nowy". Zanim odszedł, zapytałem jeszcze:

– Masz "Hamleta"?

Mężczyzna przetasował kilka książek, po czym wręczył mi pożółkły egzemplarz, o który prosiłem. Przyjąłem go i podziękowałem.

– Nie wiedziałem, młody, że interesuje cię dramat angielski – skomentował Prezes.

Uniosłem książkę i rzekłem:

– Przez to cholerstwo się tutaj znalazłem.

– Bzdura. To akurat ustrzegłoby cię przed błędami.

Siadłem na swoim łóżku i zacząłem czytać.

W więzieniu organizowano także zajęcia szkolne dla tych, którzy z powodu odsiadki nie mieli okazji zdobyć wykształcenia. Zapisać mógł się każdy i wiele osób zrobiło to tylko po to, by wyrwać się na kilka godzin dziennie z celi.

Zajęcia prowadzili nauczyciele matmy, historii, języka angielskiego, biologii i polskiego. Kto chciał, mógł przystąpić w każdym momencie do egzaminu końcowego pod okiem ważniaków z Komisji Egzaminacyjnej.

Historii i polskiego uczył profesor Chomski, człowiek z mocnym charakterem. Podobno znał dobrze kilka sztuk walki.

Podczas jednej z lekcji przechadzał się po sali, gdy dostrzegł na mojej ławce "Hamleta". Podniósł książkę i rzekł:

– Królewicz duński. Dawno go tu nie było.

Ktoś z końca sali zażartował:

– Niech pan uważa, bo Kuczer zaciukał nauczyciela.

Wszyscy buchnęli śmiechem.

– Co myślisz o Hamlecie? – spytał mnie Chomski.

Na początku nie miałem ochoty wdawać się w dyskusję, ale pomyślałem, że w końcu mogę powiedzieć to, co naprawdę myślę. No bo co mi grozi? Za krytykę Szekspira nie umieszczają w izolatce.

– Według mnie był porąbany – odparłem.

– Tak... – zachęcał profesor do kontynuowania.

– Tylko dlatego, że facet zobaczył ducha ojca, doprowadził do własnej śmierci i innych. Gdybym powiedział, że w nocy gadałem do jakichś widziadeł, posadziliby mnie w psychiatryku.

– Co powiedział ten duch? – zapytał któryś z więźniów.

– Że stryj Hamleta jest mordercą.

– O skurwysyn.

– To nie wszystko – mówiłem dalej. – Bo matka Hamleta poszła w tango z jego stryjem.

– Kurwizjon.

– Spokój – uciszał nas Chomski. Po tej krótkiej wymianie zdań powrócił do swojego biurka, siadł na brzegu i rzekł: – Nie wszystko należy odbierać tak dosłownie. "Hamlet" jest dziełem ponadczasowym, uniwersalnym. Stanowi swego rodzaju krytykę wiary w nas, ludzi i świat, jaki kreujemy. Wszyscy powinni znać losy duńskiego księcia, żeby zrozumieć, jak niedoskonałym tworem jest człowiek.

– Chuja tam, ja jestem idealny – skomentował inny więzień i począł prężyć wielkie bicepsy. Znowu po sali rozniósł się gromki śmiech.

Profesor spojrzał na żartownisia z uśmiechem wyrażającym dezaprobatę, po czym odparł:

– Gdyby tak było, odprowadzałbyś teraz swojego nygusa do przedszkola, a nie pierdział w stołek. Trzeba ukazywać oblicze dobrych i złych uczynków, aby wychowywać społeczeństwo.

Zwykle tak już bywa, że na całym świecie toczy się walka o władzę. Silniejsi chcą rządzić słabszymi, więc zaprowadzają terror, a po osiągnięciu celu ostrzą noże, aby skorzystać z nich w chwili, gdy ktoś ambitniejszy wyciągnie łapy po koronę.

W więzieniu także trwała wojna o wpływy i to coraz bardziej. Karki co rusz wyciągały łapy po, jak mawiał Wolski, kawałek ptasiego mleka, gdy tymczasem ludzie Zębatego ostrzyli to, co dało się przemycić i

zaostrzyć. W końcu sam padłem ofiarą nadużyć.

Jeden z "atletów" nakazał, abym zorganizował wagon fajek w ciągu doby. Zachętą miał być fakt, że każda godzina zwłoki powiększała dług o jednego papierosa. Po trzech dniach sprawa zaczęła być poważna. Nękanie "przypomnieniami" ze strony osiłków, udałem się do Łysego. Ten jednak wzruszył tylko ramionami.

– Co ja mogę. Komuś się widocznie nie spodobałeś.

– Pomóż, Łysy. Jesteście kolegami – naciskałem.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

Znaczyło to, że nie obędzie się bez czegoś w zamian.

Dla Zębatego sam Kula i jego ludzie byli bardzo niewygodni. O ile wyłudzenie fajek nie należało do ciężkich grzechów i powodowało niewiele szkody, o tyle samowolne podejmowanie decyzji w sprawach, przy których należało zapytać o zgodę, stwarzało zbędne zamieszanie, jak choćby historia z Twixem.

Zaraz po morderstwie wszystkie cele przetrząsnęto w poszukiwaniu narzędzia zbrodni lub innych rzeczy, niezwiązanych bezpośrednio z samym czynem. W ten oto sposób wiele osób utraciło zachomikowane przedmioty pochodzące z przemytu, do niektórych nie doszły tego dnia ważne grypsy, a sami strażnicy zaczęli nas gorzej traktować. Wiele niepotrzebnego zamieszania, którego mogliśmy uniknąć.

Wolski nazywał Karków bezmyślnymi obwiesiami, i byłem pewien, że nie zamierza stać spokojnie.

Podeczas pracy w kuchni zaczął mnie Łysy.

– Psssy – zawołał, kiedy ścierałem z podłogi tłusty zaciek. – Ruszaj pizdę, młody.

– O co chodzi? – spytałem.

– Gadałem z moim ziomkiem. Powiedział, że odpuści ci fajki, ale musisz kopsnąć fanta.

– Czego chce?

– Łańcuszek i adidas.

– Że co? Za kilka fajek?

– Procent ci, kurwa, urósł.

– Jaki procent?

– Taki jesteś uczony, a chuja rozumiesz. Jak coś pożyczasz, to potem oddajesz z procentem. Biznes, kurwa.

– Nic nie pożyczałem.

– I chuj, takie zasady. Masz czas do jutra. Czołem.

Zanim odszedł, wystraszył jednego z chłopaków, który pomagał mi w kuchni.

Czy szlachetniejszy widny duch w znoszeniu

Pocisków oraz strzał gniewnego losu,

Czy w pochwyceniu za broń przeciw morzu

Przykrości, by im kres położył opór?

Od dawna miałem pomysł na super zgrywę, ale jakoś brakowało mi umiejętności aktorskich, ażeby podołać wyzwaniu. Gdy opowiedziałem o wszystkim chłopakom, Bolo natychmiast się zgodził.

– Wchodzę – powiedział bez zastanowienia.

– A co jeśli wezwą starych? – odezwał się Pinczer.

Bolo machnął ręką.

– Matka poznała jakiegoś ciula i poszła w pizdu, a ojciec zalewa pałkę z rozpacz.

Nigdy wcześniej nie chwalił się, że Pani Bolowska znalazła nowy dom. Nie sądziłem, by się wstydził.

Uznał raczej ten fakt za mało istotny. Chrzanić, grunt, że był gotów do zgrywy.

Pomysł, jak już wspomniałem, był mój. Uznałem, że jeśli wszystko wypali, będzie ubaw jak jasna cholera. Nie sądziłem, by ktoś przed nami albo po nas powtórzył wyczyn. Bolo od początku podchwycił mój

entuzjazm. Pino z kolei wyglądał na zdystansowanego, a może wręcz niechętnego. Czasem z nim tak już bywa, że chłopak nie potrafi się wyluzować.

Zaczął się zwyczajnie; Bolo wiercił się w miejscu niespokojnie, jakby siedział na tłuczonym szkłe. Co chwilę szurał krzesłem, aż Stendarda przechodziły ciarki. W końcu profesor nie wytrzymał i wywołał mojego kumpla do odpowiedzi.

Bolowski stanął przed tablicą, na której napisano:

Piękna Ofelia! Nimfo w swych modlitwach

Pamiętać chcecie o mych wszystkich grzechach.

– Proszę omówić nam poszczególne części mowy – powiedział Stendard.

– Części...? – zapytał Bolo.

– Dokładnie tak powiedziałem.

– To się chyba nie uda, profesorze.

– A czemuż to, jaśnie panie Bolowski?

– Źle się czuję. Bardzo źle.

– Dlaczego nie zostałeś w domu? Masz zwolnienie?

– Bo ja, proszę profesora, byłem u lekarza, ale on nic nie zauważył.

– I śmiesz podważać kompetencje człowieka uczonego? Jeśli doktor nic nie widział, ja tym bardziej nie. Bierz się do roboty, symulancie. Czekamy.

Wtedy Bolo przystąpił do ataku. Zaczy nie od razu. Najpierw złapał się za czoło, jakby za chwilę miała mu eksplodować czaszka, a potem z teatralną miną upadł na podłogę. Kilka osób wyglądało na rozbawionych, ale część miała autentycznego pietra.

Upadek przeszedł w histeryczne drgawki i nikt się już nie śmiał. Bolo uderzał tyłem głowy o parkiet, a na jego ustach zbierała się pienista ślina, która spłynęła strużyną po policzku.

Przerażony Stendard padł na kolana, by unieruchomić Bolowskiego. Szarpał się z nim kilka minut, po czym wreszcie osiągnął przewagę, a kiedy pochylił się, by obejrzeć "chorego", Bolo odkrztusił najobrzydliwszą flegmę i splunął.

Zielonawa masa śliny i smarków przywarła do czoła profesora niczym galaretowata narośl. I w tym momencie cała mistyfikacja legła w gruzach, bo mój kolega epileptyk, zamiast udać omdlenie, buchnął śmiechem tak donośnym, że usłyszeli go nawet na sali gimnastycznej. Plan ostatecznie nie powiódł się, ale i tak było o czym mówić.

Dzień ten zapamiętam do końca życia z dwóch powodów. Primo dlatego, że po raz pierwszy w życiu udało nam się wzbudzić w cholernym profesorze wstyd. Gość miał minę, jakbyśmy przyłapali go na masturbacji przed portretem prezydenta. Gdyby mógł, zapadłby się pod ziemię.

Najbardziej ubodło go chyba to, że osiągnęliśmy swój cel. Właśnie tak. Pragnęliśmy wzbudzić zaufanie, a potem rzucić owym o ścianę. I chociaż wcześniej profesor bronił się dzielnie i nie pozwolił sobie na rozluźnienie, tym razem myśmy byli górą.

Może dobrze się złożyło, że Bolo położył zgrywę na końcu. Dzięki temu mogliśmy śmiać się potworowi prosto w zapluta twarz i to w momencie najwspanialszego triumfu. Czy można chcieć czegoś więcej...?

Był też drugi powód, znacznie ważniejszy, który przyćmił radość na długo. Zgrywa z epilepsją Bolowskiego był naszą ostatnią wspólną inicjatywą w życiu.

Albowiem mord choć mu i brak języka,

Potężnym głosem woła.

– Co cię gryzie, młody? – spytał Wolski, gdy siedzieliśmy sami w celi.

Od jakiegoś czasu Wolski wychodził na spacerzy rzadziej, żeby nie powiedzieć, że prawie nie opuszczał celi. Ale za to czytał dużo więcej niż kiedykolwiek. Nie skończył jeszcze jednej książki, a już zamawiał

drugą. Wiedziałem, że otrzymuje w ten sposób grypsy i sam je także nadaje.

– Wszystko w porządku – odparłem.

– Chrzanisz. Melduj, dzieciaku, staremu Wolskiemu, jaki masz problem.

Nie jestem kapusiem, ale z drugiej strony nie mogę być idiotą i odrzucać cudzej pomocy. Opowiedziałem więc o zajściu z Łysym, po czym spuściłem głowę, jakby ze wstydu, że strzeliłem z ucha kolegę spod celi.

– Nie ma co robić uników – rzekł Wolski, który najwyraźniej rozumiał moje zażenowanie. – Tak już bywa, bracie, że trzeba stanąć po którejś ze stron. Pomogę ci.

– Serio? Co chcesz w zamian?

Wolski uśmiechnął się i klepnął mnie w ramię.

– Bystry jesteś, ale drobiazg. Nie ma sprawy. Ustaw się z Łysym jutro w pralni. Punkt dziewiąta. Masz fajki. – Podał mi dwie paczki papierosów, a potem rzekł: – dasz mu to, gdyby potrzebował zachęty. Powiedz, że resztę dostanie na miejscu.

Nie byłem pewien, co się kroi, ale znałem zasady na tyle dobrze, by wiedzieć, że o pewne sprawy lepiej nie dopytywać. Dla własnego dobra.

Nazajutrz Łysy upomniał się o swoje z samego rana. Przekazałem mu więc dwie paczki fajek.

– A gdzie, kurwa, reszta? – spytał kafar.

– Do dziewiątej dostaniesz wszystko – zapewniłem.

– Do jakiej, kurwa, dziewiątej...? Dałem ci czas do jutra, a jutro już jest dzisiaj. Wyskakuj z laczków.

– Nie powiedziałeś, do której będziesz czekał.

– Dobra, młody. Chuj, moja strata. Jak do dziewiątej nie będzie fajek, dostaniesz w pizdeczkę. Zrozumiał?

– Tak, jasne. Przyjdź do pralni.

– No i git.

Ponad wszystko modliłem się, aby Wolski mnie nie wystawił. Prawdę mówiąc byłem całkowicie zdany na jego łaskę. Jeśli coś pójdzie nie tak, Łysy dojedzie mnie i weźmie siłą, co zechce.

Niespełna dwie godziny po śniadaniu część więźniów wyszła na spacer, inni powrócili do cel, a ochotnicy, w tym ja, odmeldowali się do codziennych obowiązków. Z kuchni miałem dostęp do wielu pomieszczeń, których nie obstawiali strażnicy. Mogłem bez skrępowania spacerować po zmywaku, spiżarni, chłodni, przykuchennym magazynku, korytarzu, a także po pralni. Nie wzbudzałem żadnych podejrzeń, jako że każdego dnia należało pozbierać brudne ścierki oraz fartuchy i przenieść je w plastikowym koszu właśnie do pralni.

Pod tym względem w trudniejszej sytuacji był Łysy, który jakimś cudem wędrował niemal po wszystkich piętrach i pomieszczeniach więzienia. Najprawdopodobniej przekupywał strażników i zastraszał współwięźniów, którzy mogli mu zapewnić wstęp.

Kilka minut przed dziewiątą spotkaliśmy się w wyznaczonym miejscu. Łysy czekał już od jakiegoś czasu. Oparty o pralkę automatyczną zjadał bułkę zagarniętą najprawdopodobniej podczas spaceru. Poza nami w pomieszczeniu przesyconym smrodem chemikaliów nie widziałem nikogo.

– No w końcu – rzekł na mój widok Łysy. – Pół bochenka bym opierdolił z nudów. Gadałem z ziomkiem i on już nie chce tych fajek. Woli laczki.

– No to się nie dogadamy – odparłem.

– Ochujaleś...? Chcesz, żeby cię wyruchali?

– Chcę sam pogadać z twoim ziomkiem.

– Sam możesz się popierdolić pod kocem. Biorę buty albo liczysz zęby.

Miałem już zamiar uciekać, gdy zza rzędu automatycznych pralek wyłonili się dwaj mężczyźni, których widywałem dość często, ale żadnego osobiście nie poznałem. Wiedziałem, że obaj przynależeli do gangu

Zębatego, a więc musiał ich sprowadzić Wolski.

– Co jest...?! – Łysy uniósł wysoko ręce, gotując się do walki. Tamci mieli jednak zaostrzone szpikulce. Wszystkie pralki zaczęły głośno buczeć i dopiero wtedy Łysy dostał pietra. Nie miał dokąd uciec, a wołanie o pomoc także nie przyniosłoby skutku. Hałas narastał, a osaczony mięśniak cofał się w ciemny kąt pomieszczenia. I już zbliżał się do sterty worków wypełnionych brudnymi łachami, kiedy zza stosu wyskoczył trzeci gangster. Napastnik wyprowadził serię szybkich ciosów szpikulcem i z szyi kafara w mgnieniu oka bryznęły strumienie krwi.

Strach mnie sparaliżował. Mogłem jedynie patrzeć na agonię Łysego, który coraz bardziej chylił się ku betonowej posadzce. Z odrętwienia wyrwał mnie dopiero jeden z gangsterów, który nakazał wypieradać i to w podskokach.

Cios w szyję ostrym narzędziem to podobno pewniak. Nigdy nie ma stuprocentowej gwarancji, że jakiś zakapior nie przeżyje i tego, ale im więcej dźgnięć, tym większe prawdopodobieństwo, że ranny nie otworzy oczu.

Tego dnia prócz Łysego zginęło jeszcze kilku Kafarów, między innymi Kula, którego zaciukano na stołówce wraz z resztą najbliższych mu ludzi. Plan polegał na stworzeniu sztucznego zamieszania, a następnie zaatakowaniu celu numer jeden.

Zwłoki Łysego sprzątnięto zaraz po naszej ucieczce. Zrobił to podobno sam Wolski, który ukrył trupa pod stertą brudów. Następnie uszkodził prawie wszystkie automaty, co dało kilka godzin komfortu.

Podczas obchodu powiedzieliśmy dyżurnemu, że Łysy od rana miał sraczkę i poszedł do piguły, co także pozwoliło zaoszczędzić trochę czasu. Wszystko wydałoby się i tak po obiedzie, ale to nie miało wówczas znaczenia.

Jak już wspomniałem na stołówce sprowokowano bójkę pomiędzy dwoma więźniami, co doprowadziło do eskalacji przemocy. Po chwili wybuchła trzecia wojna światowa i zanim strażnicy pełniący tego dnia dyżur zareagowali, Kula i paru Kafarów leżało w kałużach z własnej krwi. Cholernie paskudny widok, którego nie zapomnę do końca życia.

W królestwie duńskim gnije coś i cuchnie

Wspólnie z Pinczerem byliśmy zmartwieni, gdy okazało się, że Bolo nie przyszedł do szkoły. Owszem zdarzało nam się wagarować i to nie rzadko, ale zwykle robiliśmy to razem. Kiedy jeden nie miał ochoty iść do budy, namawiał dwóch pozostałych i tak organizowaliśmy sobie dzień. Tym razem było jednak inaczej, dlatego postanowiliśmy po zajęciach poszukać naszego kumpla.

Siedzieliśmy akurat na matmie, gdy do sali weszła babka z sekretariatu. Wołaliśmy na nią Żyrafa, gdyż miała cholernie długą szyję i chude nogi. Cud, że trzymała pionową pozycję.

Żyrafa dotruchtała do profesora i przez minutę mówiła coś szeptem. Po wszystkich matematyk zrobił wielkie oczy i pokiwał głową.

Było widać, że coś się dzieje. W przerwie na korytarzu minęliśmy dwóch policjantów, którzy zmierzali do gabinetu dyrektora. Od razu przyszło mi coś do głowy.

– Bolo – powiedziałem sam do siebie.

– Co? – nie zrozumiał Pino.

– Chodź – nakazałem. – Musimy zadzwonić do Bolowskiego.

Przez blisko kwadrans nikt nie odbierał, co zmartwiło mnie jeszcze bardziej. Wiedziałem, że Bolo uwielbiał od czasu do czasu wdepnąć w bagno. Nie miałem konkretnych podejrzeń, ale intuicja podpowiadała mi, że coś poszło bardzo nie tak.

Co nieco wyjaśniło się na zorganizowanym nadprogramowo apelu.

– Wczorajszej nocy miał miejsce wypadek, na skutek którego jeden z waszych kolegów trafił do szpitala

– powiedział dyrektor.

Nic więcej nie dodał poza tym, że mowa o Bolowskim.

Po zajęciach wraz z Pinczerem wsiedliśmy w autobus i pojechaliśmy na drugi koniec miasta. Dobijaliśmy się przez parę minut do drzwi Bolowskich, ale bezskutecznie. Przestaliśmy, gdy z mieszkania obok wyszło stare babsko z czupiradłem na głowie.

– Nie ma nikogo – wyjaśniła sąsiadka. – Dzieciak w szpitalu, a ojca zabrała policja.

– Wie Pani, co tu się stało? – zapytałem.

Staruszka jakby czekała na tę chwilę, bo zaraz zaczęła swą opowieść.

Okazało się, że wczorajszego wieczoru Bolowskich ktoś odwiedził. Był to elgancki mężczyzna po pięćdziesiątce. Kobieta nie słyszała, o czym rozmawiali, ale zaraz gdy tylko tajemniczy jegomość wyszedł, w mieszkaniu obok rozpętało się piekło. Ojciec Bolowskiego wrzeszczał swoim zapijaczonym głosem, rzucając dokoła różnymi przedmiotami. Podobno Bolo też ostro piłował, ale tylko przez chwilę, bo potem zapanowała cisza jak makiem zasiał.

Któryś z sąsiadów zdążył w tym czasie wezwać policję. Awanturnik nawet nie próbował stawiać oporu. Starucha twierdziła, że gdy stary Bolowski otworzył drzwi, na rękach miał mnóstwo krwawych śladów.

Zrozumiałem, że żarty się skończyły dopiero w szpitalu. Przez oszklone drzwi widziałem swojego przyjaciela leżącego nieruchomo na wznak. Całą twarz miał owiniętą bandażami. Otwory pozostawiono jedynie na usta i oczy.

Nie pozwolono nam wejść do środka, gdyż nie należeliśmy do najbliższej rodziny. Staliśmy dlatego z Pinczerem jak wryci tuż przy samych drzwiach. Zastanawiałem się, jak teraz musi wyglądać twarz mojego kumpla ze szkolnej ławy. Czy dalej była rumiana? Czy to dalej twarz znanego wszystkim koncertmistrza, który wargami wykonywał takie zgrywy, że wszyscy płakaliśmy ze śmiechu...?

Nazajutrz nie poszedłem do szkoły. Cały dzień przesiedziałem w szpitalu. Wszyscy już wiedzieli, że Bolo oberwał od swojego starego. Oberwał tak, że musiał walczyć o życie. Byłem pewien, że chłopak wydobrzeje, ale nie mogłem w takiej chwili siedzieć w budzie. Przyjaźniliśmy się przecież od samego początku.

Niech cię szlag, pomyślałem. Aleś nam numer wykręcił. Bardzo chciałem, żeby wszystko okazało się zgrywą, jak wówczas, gdy Stendard dostał smarkami w twarz. Wierzyłem, że za kilka godzin, może dni pękniemy ze śmiechu. Jak masz piętnaście lat, nie bierzesz pod uwagę śmierci. W zasadzie dotychczas uważałem, że moi rówieśnicy są nieśmiertelni. Kiedyś widziałem, jak jeden z ziomali jeżdżących na desce tarł ryjem przez pół skrzyżowania, po czym stanął o własnych siłach i poszedł na piwo. Wszyscy mamy taką moc.

Od ponad trzydziestu godzin nie zmrużyłem oka, dlatego kiedy tylko przyłożyłem głowę do poduszki, którą wręczyła mi jedna z pielęgniarek, natychmiast odpłynąłem.

Śniłem, że jesteśmy na biwaku. Bolo uczy mnie, w jaki sposób otwierać jedno piwo o drugie. Cholera, mój browar zawsze się pienił jak diabli. Po odkapslowaniu butelki musiałem szybko pić, żeby nie uronić ani kropli. Parę razy z nosa poszła mi piana. Śmialiśmy się do rozpuku.

Nagle twarz mojego kumpla zaczęła się... zapadać. Policzki jakby wklęły, zwłaszcza jeden, nos przybrał wygląd zakrzywionego haczyka, a oko spływało w dół wklęsłości powstałej na twarzy. Bolo stał obok, ale nie mówił nic. Nawet się nie ruszał. Ze spuszczoną głową przypominał bardziej wisielca niż energicznego chłopaka, jakiego znałem.

Wstrząsnął mną dreszcz, aż otworzyłem oczy. Zorientowałem się po chwili, że jedna z pielęgniarek próbuje mnie dobudzić.

– Co się stało? – spytałem.

Kobieta była zasmucona. Popatrzyła na mnie, jakby z politowaniem i wiedziałem, że to koniec. Bolo od-

szedł na zawsze.

Nie miałem zamiaru iść nigdy więcej do budy. Najpierw siedziałem całymi dniami we własnym pokoju, ale kiedy żale staruszków przybierały na sile, znikalem z domu na całe popołudnia i noce. Wracalem o świcie, kiedy ojciec i matka wychodzili do pracy. Mijaliśmy się tak przeszło tydzień, aż w końcu postanowiłem, że zajrzę jednak do szkoły.

Na tablicy w korytarzu wisiała rozpiska z dyżurami nauczycieli. "Okienko" Stendarda przypadało między godziną czternastą, a piętnastą.

Z tłumu uczniów, który wyszedł na przerwę, wyłowilem Pinczera.

– Izaak? – zdziwił się mój kumpel, gdy odciągnąłem go na bok. – Gdzie byłeś, stary?

– Chodź, musimy pogadać – odparłem.

Przeszliśmy do sali gimnastycznej. Szkolna drużyna siatkarek miała akurat trening, więc usiedliśmy na trybunach.

– Ale się popieprzyło – mówił Pino. – Biedny Bolo, kurwa. Co tam się w ogóle stało?

– Musimy go pomścić – rzekłem.

– Przecież jego starego zamknęli.

– Chrzanić go. Tego samego dnia, co Bolo oberwał, do jego domu przyszedł Stendard. Rozumiesz?

– Skąd wiesz, że to on? – zapytał.

– Po prostu wiem i już. Po chuj drać temat. Teraz pomyślmy lepiej, co można zrobić.

– To znaczy?

– Jak dopierdolić skurwielowi tak, żeby nigdy więcej nie robił świństw. Według mnie najpewniejsze byłoby otrucie.

Pino spojrzał, jakbym robił sobie jaja.

– Ty tak poważnie, Kuczer?

– Śmiertelnie. Wcześniej to była tylko zabawa, ale skurwiel przegiął ostatecznie.

– Nie, nie. Ja wysiadam. Nigdy nie zrobię czegoś takiego.

– Przez niego nie żyje Bolo. Czy dla ciebie to coś znaczy?

– Gówno prawda. Muszę już iść.

– I co, zamierzasz tak mnie zostawić?

– Zwariowałaś. Powinieneś iść do Stendarda, pogadać. Na pewno pozwoliłby ci podejść do poprawki, po tym, co przeszliśmy. Ja byłem.

Spojrzałem swojemu kumplowi głęboko w oczy. Wprost nie mogłem uwierzyć. Jeżeli mówił prawdę, znaczyło to, że nie miałem już przyjaciół.

– Ty parszywa gnido. – Stałem na równe nogi i wykonałem szybki zamach. Cios wylądował wprost na szczęce sukinsyna, którego traktowałem kiedyś jak brata. Na tym skończyliśmy naszą rozmowę.

Stendard przybył do sali niecały kwadrans po czternastej. Zaraz po wejściu ujrzał mnie siedzącego na jego własnym miejscu, z rozłożonymi na biurku nogami. Już gotował się do słownej reprimendy, kiedy dostrzegł na tablicy napis mojego autorstwa. Hasło głosiło: *Shakespeare to chuj*. Facet natychmiast onie-miał. Zszokowany odłożył teczkę i stos dzienników na najbliższą ławkę, po czym przerzucał spojrzenie z tablicy na mnie.

– Co to ma być? – zapytał w końcu.

– Nie umiesz czytać, profesorze...?

– W tej chwili chcę cię widzieć w gabinecie dyrektora. Zaraz zadzwonię do twoich rodziców.

– O, to potrafisz najlepiej, konfidencie pierdolony. Ty wiesz, że jesteś od teraz mordercą? Na co tak patrzysz?

Widziałem, jak jego twarz nabiera złowieszczonego charakteru, a potem błednie. Tak jakby w jednej chwili

uświadomił sobie, że nie ma najmniejszych szans. Pewnie na forum klasowym znalazłby w sobie energię, ale tu byliśmy sami. Nie miał przed kim zgrywać pana stanowczego. Mnie za to było wszystko jedno.

Po co mają takie stworzenia jak ja pętać między niebem a ziemią? Jesteśmy wszyscy wierutni hultaje, nie wierz żadnemu.

– Rozwaliłem mu łeb kurkiem od kranu. Tłukłem tak mocno, żeby zmiażdżyć kość. Chciałem, by czuł to samo, co Bolo. Potem usiadłem pod tablicą, bo byłem cholernie zmęczony, a jak już odpocząłem, wyszedłem na korytarz. W ręku wciąż trzymałem ten kurek i chyba wszyscy widzieli ślady krwi.

Kiedy skończyłem swą opowieść, Wolski zapytał:

- Nie myślałeś, żeby uciekać?
- Już mówiłem, że było mi wszystko jedno – odparłem.
- No dobra, a co z tym kumplem?
- Z Pinczerem? Nie mam od niego wieści.
- Chciałbyś się na nim odegrać?
- Nie. Mam już dość. Jutro zabierają mnie do ośrodka. Chcę zacząć wszystko od nowa.

W ośrodku dla trudnej młodzieży zameldowałem się w Dniu Ojca. W odróżnieniu od paki była tam masa roboty, co bardzo mnie cieszyło. Na zajęciach praktycznych przygotowywaliśmy kartki dla swoich staruszków. Niektórzy z "osadzonych" uważali, że to wyjątkowo pedalskie zajęcie, więc przyozdobili swoje laurki krajobrazem kutasów i męskich dup. Moje dzieło było bardziej konwencjonalne, co też stwierdził nasz opiekun.

- Chciałbym ją wysłać – rzekłem.
- W porządku – odparł opiekun, po czym wręczył mi kopertę.

Kiedy odbierał ją z powrotem, zapytał:

- Twój ojciec nie nazywa się Kuczer tylko Bolowski?

Uśmiechnąłem się.

- To staruszek mojego dobrego kumpla. Taki miły gest.
- Jak chcesz.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Quentin, dodano 26.08.2016 00:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.